



tekst

JUSTYNA TYLMAN

redaktor wydania

Filcowe kaptcie nie przydadzą się w czasie zwiedzania kołobrzeskiego Morskiego Skansenu, który ma być największą placówką o tym profilu w Polsce. Będzie się można o tym przekonać za 10 miesięcy, kiedy zgodnie z umową zostaną zakończone prace. Skansen ma się stać wizytówką Kołobrzegu, oferując nowoczesne usługi turystyczne, oparte na tradycji morskiej. O fascynującej podróży do muzeum, nie tylko dla dzieci, opowiada Karolina Pawłowska. Zapraszam do lektury.

W roku szczególnego dziękowania Bogu za 40 lat istnienia diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, które przypadnie w przyszłym roku, biskup Edward Dajczak prosi nas o ofiarowanie modlitwy w intencjach naszego Kościoła lokalnego.

Będzie to nasze budowanie duchowej wspólnoty Kościoła diecezjalnego, parafialnego, rodzinnego. Po to została przygotowana specjalna modlitwa, która pojawi się w parafiach na obrazkach z wizerunkiem Matki Bożej Bolesnej ze Skrzatusza. Będzie można ją odmawiać indywidualnie w pacierzu albo dołączyć do Różańca.

Przed jubileuszem

Modlitwa za naszą diecezję



BEATA STANKIEWICZ

Wszystkie sprawy diecezji powierzamy Skrzatuskiej Piecie

Wszystkie pisemne deklaracje codziennego jej odmawiania będą złożone w darze ołtarza podczas majowych centralnych obchodów 40-lecia diecezji. Chcę podzielić się genieżą powstawania tego wyjątkowego tekstu. W pierwszej fazie okazało się,

że różne indywidualne propozycje tekstu są właśnie zbyt „indywidualne”. Wtedy ksiądz biskup zaprosił kilka osób i w szczerzej rozmowie, słowo po słowie, prośba po prośbie została zapisana nasza modlitwa. Wspólne jej odczytanie na głos przyniosło nam prawdziwą radość: „tymi słowami można odezwać się do Pana Boga”.

Panie Boże, dziękujemy Ci za nasz koszalińsko-kołobrzeski Kościół. W nim Ciebie wyznajemy i uwielbiamy. Daj żywą wiarę i miłość mojej rodzinie, naszej parafii i całej diecezji.

Zjednocz wszystkich na modlitwie i przy eucharystycznym stole. Powołuj i umacniaj głoszących Ewangelię. Spójrz miłosiernie na chorych, bezrobotnych i zagubionych duchowo.

Maryjo, nasza Skrzatuska Pani, święci Wojciechu i Maksymilianie, módlcie się za nami. Amen.

Ks. Henryk Romanik

Drzewa łamały się jak zapałki



PRZEMISŁAW GRYN

Wichura, która z soboty na niedzielę przeszła przez Polskę, również w naszym regionie wyrządziła poważne szkody. Dziesiątki powalonych drzew i konarów, pozrywane linie energetyczne – to tylko niektóre skutki huraganowego wiatru. Do usuwania powalonych drzew i konarów państwowa i ochotnicza straż pożarna w naszym regionie wyjeżdżała ponad 40 razy. Wichura uszkodziła też wiele odcinków linii średniego napięcia i stacji elektroenergetycznych. Jeszcze w poniedziałek bez prądu było około 35 tys. odbiorców. W Koszalinie uszkodzenia naprawiało ponad 20 zespołów pogotowia energetycznego. **jt**

GRZYBOWO. Strażacy usuwają drzewo, które wichura przewróciła na ul. Bałtyckiej

Są, żeby pomagać

DIECEZJA. Katolicka Poradnia Rodzinna w Koszalinie skupia specjalistów z różnych dziedzin. Oprócz doradcy życia rodzinnego, kapłana, psychologa i prawnika, można się tu spotkać ze specjalistą terapii uzależnień i terapeutą analitycznym czy pedagogiem. Tu można też zasięgnąć informacji o sektach i nowych ruchach religijnych. Wszystkie porady są darmowe. W koszalińskiej poradni można także dowiedzieć się czegoś o naprotechnologii. To metoda leczenia, która ma przywrócić parze płod-

ność i doprowadzić do poczęcia dziecka w sposób naturalny. Bliższych informacji udziela Barbara Kwiatosz-Kalinowska, diecezjalna doradczyni życia rodzinnego (tel. kom. 603 686 996). W poradni działa też Katolicki Telefon Zaufania: 508 143 012. Z pomocy poradni można skorzystać również w Kołobrzegu przy ul. Kniewskiego 11 (pok. 14, II piętro). Tu doradca życia rodzinnego przyjmuje w każdą środę od 16 do 18 oraz według umówionych telefonicznie terminów. Działa także telefon zaufania: 502 030 207.



Diżury doradcy życia rodzinnego w Koszalinie odbywają się w poniedziałki: 16.30–18.00 i wtorki: 15.30–17.00. Duszpasterz służy pomocą w czwartki: 18.00–19.00, a prawnik w piątki: 16.30–18.00.

Święta tuż-tuż

SŁUPSK. Przygotowania do wigilii trzeba zacząć już teraz, zwłaszcza 2, a może 3 tysiące gości. Caritas parafii św. Jacka w Słupsku już rozdaje zaproszenia dla wszystkich chętnych – niezamożnych i samotnych mieszkańców miasta. Podczas wigilii goście mogą liczyć na obecność kapłanów i wspólne koledowanie. Lidia Matuszewska, przewodnicząca Caritas, informuje, że zainteresowanie jest bardzo duże. Tegoroczna wigilia będzie piątą. Zawsze jest organizowana w kilku turach, w zależności od liczby chętnych. Dotychczas rekordowa liczba gości przekroczyła 3200 osób, ale nie zdarzyło się, by było mniej niż 1800. Pani Lidia z wdzięcznością mówi o stałych sponsorach, którzy zapewniają m.in. pyszny czerwony barszcz czy kapustę kiszoną, ciasta i pieczywo. Zawsze Caritas przygotowuje też 50 paczek dla dzieci.



– Nie chcemy ton czy stu kilogramów jakiegoś artykułu od jednego darczyńcy. Jeśli hurtownik podaruje kilogram wędliny do bigosu, to nas ucieszy. Caritas dysponuje zamrażarkami, więc zapasy można robić już teraz – zachęca Lidia Matuszewska

Jednakowych, żeby nikt nie czuł się poszkodowany. Wigilia organizowana przez Caritas parafii św. Jacka w Słupsku odbędzie się 17 grudnia, a zaproszenia na nią będzie można odbierać w siedzibie Caritas przy ul. Niedziałkowskiego. Tam też mogą zgłaszać się cały czas darczyńcy.

Panu Bogu w okienko



– Piłka nożna rozwija osobowość człowieka, dlatego cieszę się, że mogę brać udział jako ministrant w takim turnieju – mówi Filip Chamarczuk

DIECEZJA. Ministranci diecezji koszalińsko-kołobrzeszkiej walczą o najwyższe trofea w piłce nożnej. W białogardzkiej hali został rozegrany pierwszy turniej diecezjalnej ligi ministrantów między drużynami z parafii NSPJ Białogard, św. Jadwigi Białogard, św. Michała Archanioła Świdwin, św. Ignacego Loyoli Koszalin, Ducha Świętego Koszalin i katedra Koszalin. Na boisku ministranci nie szczędzili sił i zdrowia, całą pasję wkładając w grę. Turniej rozpoczął się Mszą św. w kościele NSPJ w Białogardzie, której przewodniczyli księża opiekunowie, a zarazem trenerzy. Po Mszy przyszedł czas na sportowe zmagania. Nie brakowało emocji i niespodzianek w rozgrywanych

meczach. Ostatecznie pierwsze miejsce zajęła drużyna z parafii św. Michała Archanioła, drugie NSPJ Białogard, a trzecie Loyola Koszalin. Zwycięzcy awansowali do półfinału ligi diecezjalnej, w którym wezmą udział drużyny rozgrywane eliminacje w innych częściach naszej diecezji. – Nie jest łatwo walczyć, mając świadomość, że naprzeciwko gra drużyna, która ma nie tylko wyśmienitych ministrantów, ale i utalentowanych piłkarzy. Zawsze można w takich sytuacjach tym bardziej modlić się do Boga o pomoc i błogosławieństwo dla siebie i dla kolegów z drużyny – mówił po meczu Mariusz Wojciechowicz z drużyny NSPJ, która zajęła II miejsce.

Świętowali razem

KOSZALIN. Uroczystość Chrystusa Króla to patronalne święto Akcji Katolickiej i Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. Wspólne spotkanie tych dwóch stowarzyszeń odbyło się w niedzielę w koszalińskiej katedrze. Uroczystej Eucharystii przewodniczył biskup senior Tadeusz Werno, który w swoim słowie zwrócił uwagę na rolę i misję katolików świeckich w naszej ojczyźnie. Pasterz odebrał również ślubowanie 10 nowych członków Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, którzy po rocznej formacji wyrazili gotowość wierności ideałom stowarzyszenia. Po Eucharystii przedstawiciele wszystkich oddziałów AK i KSM spotkali się przy wspólnym stole, aby wysłuchać wykładu ks. dr. Zygmunta Czai o wychowa-



niu patriotycznym. Nie zabrakło również wspólnego śpiewu przy akompaniamencie Katarzyny Cwojdzńskiej.

GOŚĆ KOSZALIŃSKO-KOŁOBRZESKI

koszalin@gosc.pl

ADRES REDAKCJI: 75-256 Koszalin
ul. Stoczniovców 11-13
TELEFON (94) 341 03 14
REDAGUJĄ: ks. Dariusz Jaślarz
– dyrektor oddziału, Julia Markowska,
Karolina Pawłowska, Justyna Tylman

Jubileusz nadzwyczajny

Ręce mi drżą z przejęcia

Nadzwyczajni szafarze Komunii św. są obecni w diecezji koszalińsko-kołobrzeszkiej od 16 lat. Pierwsi zostali ustanowieni za czasów bp. Czesława Domina 8 grudnia 1995 roku.



Każdy szafarz otrzymuje książeczkę, w której oprócz jego danych osobowych i przepisów ogólnych znajdują się cenne i praktyczne wskazówki dotyczące obrzędu Komunii św. i posługi chorym

Mozna ich spotkać w czasie niedzielnej Mszy św., niosących Pana Jezusa do domów albo szpitali. Jest ich ponad setka, a w maju przyszłego roku dołączą kolejni.

Awangarda dla wybranych

Od samego początku opiekunem szafarzy w diecezji był ks. Andrzej Korpusik, obecnie proboszcz w karlińskiej parafii Michała Archanioła. – Od pierwszych chwil zainteresowanie posługą szafarską było duże, w pierwszym naborze proboszczowie zgłosili ponad 100 kandydatów do przygotowania – wspomina duszpasterz.

Ksiądz Korpusik tłumaczy, że jednym z powodów powołania posługi nadzwyczajnych szafarzy było objęcie opieką ludzi starszych oraz schorowanych, dla których samodzielna wyprawa do kościoła na Mszę św. nie była możliwa. – Dlaczego chorzy mają rezygnować z przyjmowania co tydzień Komunii św., skoro szafarz może zapewnić taką posługę? – pyta retorycznie. Wystarczy to zgłosić proboszczowi. Jednak, jak twierdzi ks. Korpusik, wiernych należy przygotować do spotkania z szafarzem. Przede wszystkim trzeba im uzmysłowić, że jest to spotkanie z Jezusem w Eucharystii, a nie z tym, kto Chrystusa przynosi. – Byłoby idealnym rozwiązaniem, gdyby starsi bądź chorzy mogli wysłuchać Mszy św. w radiu o godz. 9, a już o 10 szafarz pukałby do drzwi z Komunią św. – dodaje ks. Andrzej.

Także sezonowość przyczyniła się do powołania szafarzy. – W wakacje w wielu małych parafiach

przebywają tysiące przyjezdnych. Wtedy rozdawanie Komunii św. może trwać dłużej niż sama Msza św. – wyjaśnia ks. Korpusik. Jednak nie tylko w parafiach nadmorskich i wiejskich proboszczowie decydują się na szafarską posługę. Także w miastach ich pomoc jest nieoceniona. Zwłaszcza kiedy w parafii jest więcej niż jeden kościół. – Kiedy wprowadzaliśmy w diecezji szafarstwo, w ościennych diecezjach była to nadal posługa awangardowa – wspomina ks. Korpusik.

Im więcej, tym lepiej

Obecnie w diecezji jest 124 szafarzy, 35 kandydatów przygotowuje się do posługi, Ci, którzy wytrwają, zostaną ustanowieni nadzwyczajnymi szafarzami Ko-

munii św. w maju 2012 roku. – Nie boimy się, że szafarzy będzie zbyt wielu. W diecezji jest duże zapotrzebowanie na ich posługę – tłumaczy ks. Krzysztof Włodarczyk, dyrektor Wydziału Duszpasterskiego. Duszpasterz zaznacza, że szafarz prócz zadań, które pełni w kościele, ma swoje obowiązki zawodowe i obowiązki rodzinne.

Posługę nadzwyczajnego szafarza Komunii św. z obowiązkami domowymi i zawodowymi od 7 lat łączy Janusz Udałowski z parafii św. Jadwigi w Białogardzie. Jak dziś pamięta datę ustanowienia na szafarza. – To była Wielkanoc 2005 roku, wtedy po raz pierwszy udzielałem Komunii św. – wspomina ze wzruszeniem mężczyzna. Choć szafarzem jest już od kilku lat, emocje towarzyszące posłudze

są nadal bardzo silne. – Do dziś, kiedy rozdaję Komunię, potrafią zdrzeć mi ręce z przejęcia. To nie jest coś, co można robić mechanicznie, bez przejęcia, z obowiązku. To jest niesamowite przeżycie, którego nie da się opisać – tłumaczy.

Do podjęcia szafarskiej posługi przekonał go ówczesny proboszcz ks. Tadeusz Wilk. Najpierw proboszcz porozmawiał z żoną pana Janusza, która musiała zgodzić się na posługę męża. Dopiero w trakcie przygotowań mężczyzna dowiadywał się, jak wielka odpowiedzialność na nim spocznie. – Wiedziałem, kim są szafarze, ale nie zdawałem sobie sprawy, jaki – oprócz rozdawania Komunii św. w kościele – będzie mój zakres obowiązków – przyznaje pan Janusz.

Przygotowanie do posługi odbył w Koszalinie, gdzie nadal, co roku, przyjeżdża na rekolekcje. W parafii, w której posługuje, jest trzech szafarzy. Pomagają zawsze, kiedy trzeba. Są widoczni w czasie niedzielnych Mszy św., ale najwięcej obowiązków mają w święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy. – Nasza parafia jest specyficzna, bo mamy dwa kościoły i trzeci filialny, jest tylko trzech księży, a Msze św. odbywają się w tych samych godzinach. Potrzebne są dodatkowe ręce do pracy – mówi z przekonaniem mężczyzna. Na początku swojej posługi miał 3 chorych, do których przychodził z Komunią raz w tygodniu. Jednak, jak sam przyznaje, świadomość ludzi na temat szafarstwa jest uboga. – Wierni nie wiedzą, że możemy przychodzić do nich raz w tygodniu, a nie jak kapłan raz w miesiącu – mówi pan Janusz.

Nadal spotyka się z pewną nieufnością ze strony ludzi, dla których osoba świecka rozdająca Komunię jest ciągle nowością. – Kilka razy zdarzyło się nawet, że ludzie, którym rozdawałem Komunię, przyjmowali Jezusa na ręce – wspomina. Pan Janusz szanuje ich wolę. – Jeżeli mają opory przed przyjmowaniem Komunii od szafarza, nikt nie może ich zmuszać – dodaje.

Justyna Tylman



Szafarz musi być osobą, która aktywnie uczestniczy w życiu Kościoła i swoją postawą daje świadectwo wiary

ZDJEŃCJA JUSTYNA TYLMAN

Muzeum bez filco



Okręty-muzea mają szansę stać się jednym z niekwestionowanych hitów Kołobrzegu. Może uda się jeszcze pozyskać okręt podwodny typu Kobben

SKANSEN MORSKI. Na razie korzystają z gościny Punktu Bazowania Marynarki Wojennej. Ale już w przyszłym roku **dwie kołobrzeszkie okręty-muzea** będzie można podziwiać w nowo powstającym Skansenie Morskim.

tekst

KAROLINA PAWŁOWSKA

karolina.pawlowska@gosc.pl

Kołobrzeszki Skansen Morski ma być największą placówką w tym profilu w Polsce. Będzie się można o tym przekonać za 10 miesięcy, kiedy zgodnie z umową zostaną zakończone prace.

Historia w nowej formie

– Z jednej strony to nasze „ukochane dziecko”, o którym myśleliśmy już od jakiegoś czasu, z drugiej – konieczność chwili. Okazało się, że nasze okręty muzealne nie mają gdzie stacjonować w porcie. Trzeba było więc poszukać miejsca, ale bez wysokich kosztów wynajmu nabrzeża czy badań wymaganych przez Polski

Rejestr Statków – mówi o pomysłach budowy skansenu Paweł Pawłowski, dyrektor kołobrzeszkiego Muzeum Oręża Polskiego i pomysłodawca przedsięwzięcia.

Skansen ma się stać wizytówką Kołobrzegu, oferując nowoczesne usługi turystyczne, oparte na tradycji morskiej. Koncepcję programowo-przestrzenną dr. inż. arch. Maciej Płotkowiaka, na podstawie której będzie budowana placówka, zaprezentowano w maju ubiegłego roku podczas konferencji Polskiego Muzealnictwa Morskiego i Rzecznego w Kołobrzegu.

Pieniądze na budowę placówki znalazł starosta kołobrzeszki. Dwa tygodnie temu podpisana została umowa z wykonawcą – Przedsiębiorstwem Budowlanym Fest-Bud, które wygrało przetarg. Skansen powstanie na terenie zabytkowej Reduty Solnej (teren Harcerskiego Ośrod-

ka Morskiego przy Nabrzeżu Remontowym). Zajmie teren o powierzchni ponad 3 tys. mkw. Jego utworzenie będzie kosztowało powiat ponad 750 tys. zł.

Kołobrzeszki Skansen Morski ma być nowoczesną ekspozycją plenerową, prezentującą zabytki związane z kulturą morską. Udostępnione do zwiedzania okręty muzealne wyposażone zostaną w profesjonalne sale edukacyjne i multimedialny system wystawienniczy.

Stery w garść!

Głównymi eksponatami skansenu będą dwa znajdujące się w zbiorach Muzeum Oręża Polskiego okręty wojenne: ścigacz okrętów podwodnych ORP „Fala” i kuter raketowy ORP „Władysławowo”. Znajdą się tam również elementy wyposażenia zezłomowanego pod koniec lat 70. XX wieku legendarnego kontrtorpedowca ORP „Burza”, w tym maszt jednostki, górujący przez wiele lat nad ekspozycją plenerową przy ulicy Gierczyk, oraz działo okrętowe kaliber 100 mm i miotacz bomb głębinowych.

„Fala” i „Władysławowo” miały szczęście. Nie podzieliły losu innych jednostek przerebionych „na żyłki” – trafiły na emeryturę

wych kaptci

do muzeum. Tymczasowo stacjonują w Basenie Sportowym przy Nabrzeżu Slipowym – na terenie Punktu Bazowania Marynarki Wojennej w Kołobrzegu. Tam też po uzgodnieniu – z co najmniej dwutygodniowym wyprzedzeniem – mogą zaglądać zwiedzający w zorganizowanych grupach oraz chcący zorganizować lekcję muzealną.

Okrętami opiekuje się i oprowadza po nich były oficer ORP „Fala”, kmdr ppor. Henryk Sobieraj. A ciekawskich, którzy chcą z bliska obejrzeć okręty, nie brakuje, zwłaszcza latem. Największą frajdę mają dzieci. Przychodzą do portu całymi klasami. – Są ogromnie zainteresowane, zadają masę ciekawych pytań. Bo to nie jest tradycyjne muzeum z filcowymi kaptami, ale takie, w którym można wszystko zobaczyć z bliska, dotknąć, spróbować – opowiada kustosz.

Mali odkrywcy dziwią się, w jak małych pomieszczeniach mogło pomieścić się 28 osób załogi, ale najchętniej łapią za stery albo celowniki działek. – Cały okręt jest do ich dyspozycji, więc czasem trudno ich stąd ściągnąć. Najchętniej od razu wyszliby w morze! – śmieje się pan Henryk.

Przychodzą też i dorośli. Czasami ci, którzy służyli na podobnym okręcie, przyprowadzają rodziny, znajomych. Pan Henryk, który zna każdą śrubkę na swoich okrętach, może o nich opowiadać godzinami. Dosłownie. Bo czasem zdarzy się nietypowy gość, np. niewidomy, i też powinien wyjść po zwiedzaniu usatysfakcjonowany. – Dobre 10 godzin chodziliśmy po okręcie. Ja opowiadałem, a on powoli „patrzył” rękoma. Kilka par rękawiczek chyba zdarł – wspomina pan Henryk z uśmiechem, zwinnie przeciskając się w wąskich przejściach okrętu.

Radarowa kaczka

Głównym zadaniem ORP „Fala” było zwalczanie okrętów podwodnych. Wyprodukowany w 1965 r. w gdyńskiej stoczni, pływał do 1996 r. Ostatnie 5 lat służby spędził w Straży Granicznej, pilnując wód Bałtyku. – Służbę miał raczej spokojną, czasami tylko pogoda płała figle. W Straży Granicznej walczył przede wszystkim z kłusownikami, ale udało mu się też zatrzymać przemyt 7 ton spirytusu z Niemiec. Radary miały tak dobre, że wychwytywały nawet pojedynczego łabędzia czy kaczkę. No i zdarzało się, że jednostka wychodziła w morze, bo ktoś pomyślał, że to kajak – śmieje się kustosz. – Ale był przodującym okrętem w marynarce, miał świetną załogę.

Dzięki zaangażowaniu społeczników i miłośników historii z Trójmiasta oraz determinacji kołobrzeskich muzealników, zbiory Muzeum Oręża Polskiego powiększyły się kilka lat temu

o okręt rakietowy ORP „Władysławowo”, który przeznaczony był do zwalczania większych celów nawodnych. Razem z muzealnikami cieszyli się też służący na nim marynarze, bo nie często się zdarza, że okręt zamiast na złom trafia do muzeum. – Kiedy wyprowadzano go z portu w Gdyni, żegnano go sygnałem dźwiękowym, a ostatni dowódca poklepał go na pożegnanie jak dobrego kolegę – śmieje Henryk Sobieraj.

– Muzeum Oręża Polskiego to druga pod względem wielkości placówka w kraju, po Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Zbiory mamy imponujące. Nie chodzi o to, żeby się ścierać, ale żeby środki łożone na utrzymanie tych obiektów były adekwatne do potrzeb. Mamy bogatą kolekcję, ale też Kołobrzeg to wyjątkowe miejsce. Choćby ze względu na zaślubiny z morzem, daninę krwi I Armii Wojska Polskiego, cmentarz wojenny w Zieleniewie. To jest świadectwo. Dobrze by było, gdyby polityka finansowa państwa odzwierciedlała też potrzeby prowincji – mówi dyr. Pawłowski. – Chroniąc fragmenty historii, często zachowujemy pamięć o tych, którzy zostawili na tej ziemi część swojego życia. Na przykład pierścionek, który złożyła wdowa po oficerze WP, ma wartość nie tylko historyczną, ale emocjonalną. O tym trzeba pamiętać, mówiąc o muzeach – to nie tylko składnica pamiątek, depozyt historii, ale też potężny ładunek emocji – dodaje.

Na lądzie czy na wodzie?

Pomysł zbudowania skansenu morskiego, gdzie kołobrzeskie eksponaty byłyby wyslipowane (wyciągnięte z wody) i prezentowane na lądzie, narodził się przed trzema laty.

– To praktyka powszechnie stosowana na świecie i w Polsce. Na przykład Muzeum Orła Białego w Skarżysku-Kamiennej prezentuje



KAROLINA PAWŁOWSKA

Henryk Sobieraj kiedyś okrętami dowodził, teraz opowiada o nich szczerom lądowym

PONIŻEJ: Tak za 10 miesięcy ma wyglądać filia MOP – Skansen Morski

w formie pomnika kuter pościgowy, a muzeum w Laboe koło Hamburga okręt podwodny – wyjaśnia Paweł Pawłowski. Dyrektor nie ukrywa, że istotną kwestią przemawiającą za tym rozwiązaniem są także pieniądze. – Toczy się wśród morskich muzealników dyskusja, czy miejscem okrętów nie jest jednak woda, ale pojawia się pytanie, czy nas na to stać – mówi. – Staramy się znaleźć złoty środek – zachować okręty dla historii i dla zwiedzających oraz obniżyć koszty utrzymania jednostek.

Pan Henryk osobiście wolałby, żeby okręty pozostały tam, gdzie ich najlepsze miejsce – na wodzie. Ale pomysł prezentowania ich na lądzie też mu się podoba. – To nieistotne, czy będą na wodzie, czy zostaną wyslipowane, ważne, żeby pięknie je wyeksponować. Skansen z pewnością stanie się dodatkową atrakcją dla miasta – dodaje kustosz okrętów-muzeów.



MACIEJ PLOTKOWIAK

Samochodowa Randka Małżeńska

Strażacy od małżeńskich
pożarów

Najpierw kino i „Próba ogniowa” – film nie tylko o walecznych strażakach. Potem rozmowa o tym, że **zapominamy, jak ze sobą rozmawiać**. Taką propozycję na niedzielny wieczór złożyły małżonkom Domowy Kościół.

W Białogardzie skorzystało z niej 60 par. Chętnych nie brakowało także w Pile i Trzciance, gdzie zorganizowano akcję.

Było dużo ognia i emocji, choć nie zawsze związanych z widowiskowymi akcjami strażaków ratujących życie. Po filmie zaś niespieszny powrót do domu z audycją z samochodowego radia lub w słuchawkach na uszach. W Radiu Plus Koszalin małżonkowie słuchali pofilmowej audycji, która miała zachęcić ich do rozmowy o filmie, ale nie tylko o nim. Przede wszystkim o tym, czy sami są „ogniodporni”. Bo „Próba ogniowa”, to obraz o małżeństwie w kryzysie, który być może dopiero przed małżonkami, a może właśnie zobaczyli na ekranie samych siebie, choć żadne z nich nie jest strażakiem. – To niestety film o nas. O naszych problemach, próbach, porażkach. A może i „stety”, bo daje nadzieję, że nigdy nie warto się poddawać, gdy chodzi o małżeństwo – wyznaje szczerze Ania. Dla tych „zagrożonych ogniem” małżeństw organizatorzy proponują trzeci etap małżeńskiego randkowania. Małżonkowie, którzy zarejestrują się na stronie internetowej: www.randkamalzenska.pl będą otrzymywać codziennie „kolejne strony” z dziennika Chleba, głównego bohatera filmu. To „Ogniodporny kurs przeciwpożarowy”.

Samochodowa Randka Małżeńska to też działanie „na zapas”. Statystyki są zatrważające, a województwo zachodniopomorskie plasuje się w czołówce niechlubnego rankingu rozwodowego. – Cały Ruch Światło-Życie ma charakter pre-

wencyjny, czyli zabezpieczający, a Samochodowa Randka Małżeńska to jedna z naszych propozycji – tłumaczy ks. Zbigniew Woźniak, diecezjalny moderator Ruchu. – Sama deklaracja: „ślubuję ci wierność, miłość i uczciwość małżeńską” nie załatwia wszystkiego automatycznie. To jest zadany temat i te lekcje trzeba przerobić, a następnie zdać egzamin.

Ewa i Zbigniew Lange przyznają, że do egzaminu podchodzą codziennie. Od ćwierćwiecza. – Trzeba rozmawiać, o uczuciach, emocjach, przeżyciach. Bo inaczej jedynie wchodzi się w role społeczne męża i żony, jakoś się w nich funkcjonuje, ale tak naprawdę nie ma między małżonkami miłości. Żyje obok siebie dwoje samotnych ludzi, każde ze swoimi pasjami, gronem znajomych – mówi diecezjalna para Domowego Kościoła. Zbyszek przyznaje, że mówienia nauczył się dopiero w Ruchu. – Dialog jest dla nas darem. W bezpieczny sposób, zapraszając do nas Jezusa, siadamy i rozmawiamy. O tym, co nam się podoba, a co trudno przyjąć – opowiada. Teraz przekonują inne małżeństwa, że warto chodzić na randki. Może po pierwszej randce uda się stworzyć modę na takie wspólne wypadki do kina, i tych małżeństw będzie jeszcze więcej? Czas spędzony razem to wielki kapitał dla małżeństwa – zapewniają. Spacerzy, wyjazdy na tańce, spotkania ze znajomymi – warto zawalczyć o czas spędzany wspólnie, żeby nie okazało się, że w codziennej gonitwie się rozmijamy.

Karolina Pawłowska

Blog bez piuski

Produkt Krajowy
Dobra

JULIA MRKOWSKA

BP EDWARD DAJCZAK

– Chciałbym wpisać nasze spotkanie pomiędzy Uroczystością Chrystusa Króla, a pierwszą niedzielą Adwentu. Trochę nawiązać też do exposé premiera. Ale nie będzie to nic z dyskusji politycznej, nic takiego nie chcę w blogu umieszczać. Natomiast chciałbym postawić jedno ważne pytanie. Może warto by było obliczać poziom życia społeczeństwa inaczej niż licząc produkt krajowy brutto. Nie wiem, co wy o tym sądziecie. W niedzielnej Ewangelii było tak: „Bo byłem głodny, i daliście mi jeść; byłem spragniony, i daliście mi pić; przybyszem byłem, a przygarnęliście mnie; nagi – a odzialiście mnie; zachorowałem, i odwiedziście mnie; znalazłem się w więzieniu, a przyszliście do mnie” A jej druga część jest taka: nie przyszliście, nie daliście mi jeść. Co sądziecie o tym, byśmy zaczęli liczyć społeczeństwo w taki sposób, w jaki ludzie dzielą się tym, co mają? Gdybyśmy zaczęli wymierzać wartość społeczeństwa trochę inaczej, czyli wrażliwością na człowieka, który jest obok. Gdybyśmy liczyli poziom rozwoju radością człowieka, który jest sam, podaną dłońią, odrobiną serca... gdyby to tak było. Przed nami Adwent, więc po tych naszych balach i szaleństwach, dyskotekach przynajmniej uczniowie Jezusa powinni nieco wyhamować. Trochę się zamyśleć i uważniej popatrzeć na człowieka obok. Czy zgodzicie się ze mną, że byłaby to dobra miara rozwoju społeczeństwa? Mnie się wydaje, że warto by było chociaż przez chwilę o tym porozmawiać, pomyśleć i zadumać się. Może warto spróbować.



KAROLINA PAWŁOWSKA

■ Nie brakowało chętnych na skorzystanie z małżeńskiego „wypadu” do kina

Obejrzyj całość www.dobremedia.org



Dobry przykład dawał kołobrzeżanom starosta Tomasz Tamborski



Prawie 200 nowych dawców zarejestrowało się w Ekonomie

Dzień Dawcy Szpiku w Kołobrzegu

Przyłącz się, ratuj życie!

Na badania do kołobrzесьkiego Ekonoma przyszło 185 osób, by zarejestrować się jako potencjalni dawcy. **Każdy z nich może okazać się tym jedynym**, którego pomocy akurat będzie potrzebować śmiertelnie chora osoba.

Podczas Dnia Dawcy Szpiku na pięć godzin korytarz Zespołu Szkół Ekonomiczno-Hotelarskich zamienił się w biuro rejestracyjne, a jedna z sal – w prowizoryczne ambulatorium. Chętnych nie brakowało.

Dobry przykład

W ciągu pierwszych kilku godzin rejestrowali się przede wszystkim uczniowie szkoły, w której zorganizowano akcję. Niektórzy niestety musieli odejść z kwitkiem, bo do bazy danych fundacji mogą zostać wpisane jedynie osoby pełnoletnie. Uczniowie Ekonoma, którzy byli za młodzi, zapewniali jednak, że przyłączą się do akcji podczas

kolejnych Dni Dawców Szpiku. Wszyscy, z którymi mieliśmy okazję porozmawiać, odpowiadają zgodnie, że przyszli, bo chcą pomóc, bo być może ktoś ich pomocy potrzebuje albo będzie potrzebował. – To nie boli i nie zabiera dużo czasu, a być może okaże się, że te 5 minut da komuś szansę na uratowanie życia – przekonuje Jakub Zgoda, uczeń Ekonoma.

Od rana do godziny 17 można było przyjść, oddać odrobinę krwi do badania i zarejestrować się. Wszystko było znakomicie zorganizowane, pobranie krwi i formalności rejestracyjne trwały zaledwie kilka chwil. Akcję przygotowali Fundacja DKMS Polska oraz czwórka nauczycieli z kołobrzесьkiej placówki. Pomogli im w tym uczniowie wolontariusze, którzy dbali o nagłośnienie akcji w mediach, rozwiesili plakaty na ulicach oraz pomagali w wypełnianiu formularza rejestracyjnego. – Młodzi bardzo chętnie podejmują się akcji na rzecz drugiego człowieka, aktywnie odpowiadają na rozmaite apele – chwali młodzież Aleksandra Wróbel-Bednarska, nauczycielka biologii i jedna z organizatorek.

Swoją krew oddał, a tym samym zarejestrował się jako potencjalny dawca szpiku również starosta kołobrzесьki Tomasz Tamborski. Nie ukrywał, że nie kosztowało go to zbyt wiele. – Jak każdy męż-

czyzna boję się wizyty u dentysty oraz pobierania krwi – żartował. – Od dawna chciałem to zrobić, a dzisiaj okazało się, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby się włączyć w akcję. Na całe szczęście moją rodzinę ominęły takie nieszczęścia, ale zdarzały się wśród znajomych i ich rodzin, więc wiem, z jak wielkim problemem muszą zmierzyć się chorzy – dodaje już całkiem poważnie starosta.

Trafienie w totka

W kraju jest już ponad 162 tys. potencjalnych dawców. Ale to kropla w morzu potrzeb. – Te sto tysięcy to wciąż niewiele, w porównaniu z innymi zachodnimi krajami wypadamy bardzo blado. A oprócz zgodności genetycznej niezwykle istotne jest, żeby dawca i biorca pochodzili z jednego obszaru geograficznego – wyjaśnia Tomasz Oćwieja, koordynator ds. rekrutacji dawców Fundacji DKMS. W Polsce co godzinę stawiana jest komuś diagnoza: nowotwór krwi, czyli białaczka. Co drugi chory zakwalifikowany do przeszczepienia od dawcy niespokrewnionego tego dawcy nie znajduje. Bo prawdopodobieństwo, że właśnie nasze komórki uratują komuś życie, jest porównywalne do trafienia w toto-lotka. Aby zwiększyć prawdopodobieństwo znalezienia genetycznego bliźniaka, w całej Polsce organizowane są podobne akcje.

Mógł w niej uczestniczyć każdy Polak pomiędzy 18. a 55. rokiem życia, który waży nie mniej niż 50 kilogramów oraz miał ze sobą dokument tożsamości z numerem PESEL. Rejestracja polegała na wypełnieniu ankiety oraz na pobraniu 4 ml krwi. To na jej podstawie zostaną określone cechy zgodności antygenowej. Jeśli okaże się, że kod genetyczny dawcy zgadza się z kodem genetycznym chorego, wtedy dochodzi do przeszczepu. Osoby, które dziś się rejestrują, po 3-4 miesiącach otrzymają od Fundacji DKMS kartę dawcy i powiadomienie o zgłoszeniu do polskiego i światowego rejestru dawców komórek macierzystych. – Wszelkie koszty związane z pobraniem szpiku, dojazdem, pobytem w szpitalu pokrywa fundacja, zatem nie należy się obawiać, że nasz gest może wiązać się z jakimiś nieplanowanymi wydatkami – uspokaja koordynator DKMS. Można także zarejestrować się przez stronę internetową: www.dkms.pl. Po zgłoszeniu chęci zostania dawcą szpiku otrzymamy przesyłkę z zestawem do pobrania wymazu z jamy ustnej. – Zarejestrowanie się jako potencjalny dawca szpiku jest bardzo poważną decyzją. Trzeba się dobrze zastanowić, żeby – w razie zgodności – nie rozmyślić się i nie odebrać choremu nadziei – przestrzega Tomasz Oćwieja.

Karolina Pawłowska

Ludzkie losy

Mistrz wędzenia na zimno

Ze Stanisławem Bareją mieszkał w jednym pokoju. Na planie filmowym poznał Zbigniewa Cybulskiego. **Karierę filmową porzucił jednak dla Ustki.** 80-letni Henryk Podkowa jest dziś królem wędzonego łososia. Jego wyrobami zachwyca się m.in. znana restauratorka Magda Gessler.

Henryk Podkowa do elitarnej łódzkiej filmówki trafił zupełnym przypadkiem. – Chciałem wymigać się od wojska – mówi z rozbrajającą szczerością. Traf chciał, że dwudziestoletni wówczas mieszkaniec Buska-Zdroju przyjaźnił się z bratem znanego reżysera Jana Rybkowskiego, który często przyjeżdżał do uzdrowiska. Gdy dowiedział się, że przyszedł rozkaz o wcieleniu do armii, podumał chwilę i wypalił: „A do szkoły filmowej to nie chciałbyś pójść?” – spytał. – Miałem nóż na gardle, więc ta propozycja była dla mnie wybawieniem. Zwłaszcza że od dziecka interesowałem się artystyczną fotografią. Pan Jan dał mi nawet list polecający do rektora. Tak się zaczęła moja przygoda z filmem – wspomina 80-latek.

Z kapeluszem na planie

W łódzkiej filmówce studiował na wydziale organizacji produkcji filmowej. – W szkole poznałem Andrzeja Wajdę, Janusza Morgensterna, Jerzego Gruzę i Stanisława Bareję, z którym mieszkałem w jednym pokoju. Naszym ulubionym miejscem spotkań była kawiarnia „Honoratka” – opowiada z sentymentem.

Po szkole szybko znalazł pracę w Wytwórni Filmów Fabularnych. Jako kierownik produkcji zadebiutował w „Końcu nocy”, w którym wystąpili m.in. Zbigniew Cybulski, Ryszard Filipiński i Roman Polański. Później współpracował przy produkcji „Kapelusza pana Anatola”. – To były dla mnie złote czasy – w oczach pana Henryka widać autentyczną radość. – Byłem wolny i niezależny, również finansowo – podkreśla z dumą.

Monopol na fotografię

Miłość do morza sprawiła, że w 1958 roku, pan Henryk przeprowadził się do Ustki. Dzięki swoim kontaktom został korespondentem filmowym. Jego reportaże szły do Łodzi. Na poważnie zajął się również fotografią. – W czasach komunizmu nie każdy mógł robić pamiątkowe zdjęcia. Ja takie pozwolenie miałem. Wczasowicze ustawiali się do mnie w kolejce, żebym zrobił im zdjęcie na tle morza czy portu. To



Henryk Podkowa w swoim fachu jest absolutnym mistrzem

było bardzo intratne zajęcie, zarabiałem dużo więcej niż przy produkcji filmów – nie kryje ustczanin.

Czasy prosperity skończyły się jednak wraz z upowszechnieniem aparatów fotograficznych. Pan Henryk szybko się przebranzowił: zajął się obróbką bursztynu, później handlował konserwami mięsnymi. Pod koniec lat 80. XX wieku, za namową znajomego rybaka, zajął się wędzeniem ryb. Nowy fach stał się jego pasją, którą rozwija do dziś.

Nie ma ryby bez dymu

Kluczem do sukcesu okazała się wierność kaszubskiej tradycji. – Wszystko odbywa się jak dawniej, bez żadnej chemii i elektronicznych wynalazków – podkreśla pan Henryk. – Palę tylko olchą, bo dym z tego drzewa ma najniższą temperaturę. Metoda wędzenia na zimno należy dziś do rzadkości.

Delikatne i wyraziste w smaku mięso szybko zyskało renomę w całym kraju. Zamówień jest tak wiele, że pan Henryk nie rozstaje się z dzwoniącą non stop komórką. – Nie ma kiepskiej w smaku ryby. Jest tylko źle przyrządzona – śmieje się zapytany o to, który gatunek jest najsmaczniejszy.

Ryby z wędzarni pana Henryka oczarowały Magdę Gessler, która kilka tygodni temu przeprowadzała „Kuchenne rewolucje” w jednym z usteckich lokali. Znana restauratorka była

tak zachwycona, że jeden ze swoich felietonów publikowanych w tygodniku „Wprost” poświęciła właśnie jemu. „Dzięki panu Henrykowi wróciły do mnie smaki dzieciństwa. Dzięki niemu po tylu latach mogłam rozkoszować się smakiem najlepszego wędzonego łososia na świecie. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażałam sobie tak ogromnych płatów tej cudownej ryby, nie miałam pojęcia, że taki raj w ogóle istnieje, i to w dodatku na wyciągnięcie ręki – napisała.

Ten typ tak ma

Osoby, które znają pana Henryka, zgodnie podkreślają, że jest on wyjątkowo skromną osobą. – To dżentelmen w każdym calu, przedstawiciel typowej, przedwojennej klasy inteligentnej. Niestety, takich ludzi jak on jest coraz mniej – słyszymy od jednego z przyjaciół pana Podkowsy.

W podobnym tonie wypowiada się burmistrz Ustki Jan Olech. – Pan Podkowa jest chlubą naszego miasta – nie kryje samorządowiec. – Wszyscy znamienici goście, którzy przyjeżdżają do nas, zachwycają się jego wyrobami.

Wędzarnia pana Henryka jest ostatnią taką w regionie. Ustczanin na emeryturę się jednak jeszcze nie wybiera. – Ja zamknę interes, a Jurek Gruza gdzie będzie wpadał na rybkę? O nie! – zaperza się eksfilmowiec. **Jacek Cegła**